

— Pewnie ci się bardzo przypatrywała?

— Tak. Wogóle zauważyłam, że mnie oglądano od stóp do głowy, jakbym co najmniej była jakąś osobliwością.

— No, myślę, że cię oglądali... Musisz być na to przygotowana, że jakiś czas będzie się Łyków aż trząsał od plotek na twój rachunek.

— Oj! — jęknęła cicho przestraszona Józia.

— Nie masz się czego obawiać. To przejdzie. Znajdą sobie później jakiś inny przedmiot zainteresowania. Ale Larchówna to już specjalnie na ciebie musiała oczy wypatrywać...

— Tak mi się zdawało.

— Naturalnie, że tak było.

— Czy to wasza znajoma?

Lola roześmiała się sflumionym chichotem.

— Co? Czy to nasza znajoma? Moja i mamy wcale nie!... Ale za to Konrada dobra znajoma... bardzo dobra znajoma!... To jest właściwie była — dorzuciła panienka z jakąś szczyptą zadowolonej złośliwości.

Józia straciła nagle ochotę do dalszej rozmowy.

— Ach, tak!... Dziękuję ci, Lolu. Dobranoc!

ROZDZIAŁ VI.

Wiosenne słońce złocistą, zwycięską falą wdierało się przez otwarte okna i zalewało cały pokój. Wesole, jasne smugi kładły się na podłodze, na biało zasłanych łóżkach. Promienie słoneczne ślizgały się po gładkiej powierzchni zwierciadła, po jasno tapetowanych ścianach, złociły lśniące włosy młodej pani Żarnickiej, przeglądały się w niebieskich oczach, całowały świeże usta i pobiadały trochę twarzyczkę.

Po tyłu miesiącach ostrej, upartej zimy, nareszcie wiosna! Przyszła ciepła, pogodna, uśmiechnięta, tem milsza im dłużej, im goręcej oczekiwana.

Józia, bardzo wrażliwa na wszelkie zmiany atmosferyczne, pochyla głowę, pręży szyję i przy-mruża oczy, jak kot, który się wygrzewa na słońcu. Ale ręce nie przestają poruszać zawzięcie szczotką, aby nadać odpowiedni połysk czarnym, skórkowym bucikom.

Wprowadzić czynność ta teoretycznie należy do pokojówki, lecz Joasia stale zapomina oczyścić buciki i suknię „młodszej” pani. Bardzo też niedbale sprząta jej pokój, tak, że Józia wszystko po niej „poprawiać” musi.

Mniejsza zresztą o sprzątanie i o czyszczenie bucików. To praca niewielka i pani Konradowa spełniałaby ją nawet chętnie, gdyby jej nie irytowało wyraźne lekceważenie ze strony Joasi, gdyby jej nie obrażały impertynenckie spojrzenia śmiałej, pewnej siebie pokojówki. Mogłaby się wprowadzić Józia poskarżyć świeżrze gdyby nie wyczuwała, że zuchwałość sługi jest tylko echem niechętnego usposobienia samej pani domu.

— Gdyby Joasia wiedziała, że ktoś się za mną ujmie, nie ośmieliłaby się...

Ale tak... sprytna, zręczna, dobrze płatna pokojówka dobrze to rozumie, że jej stanowisko w tym domu jest daleko jaśniejsze i pewniejsze niż tej młodej mężatki, która nosi tytuł „pani”. Z nią muszą się liczyć — z Józją nikt się nie liczy. Jej dają utrzymanie i wypłacają pensję, jako coś należnego, tamta jest „na łasce”.

Piękność Józji budziła w dziewczynie uczucie zazdrośnej niechęci, a grzeczność i uprzejmość nie zdolały jej zjednać.

Może przekupiłby Joasię hojny datek pieniędzy lub jakiś ładny podarek, ale na to Józia i pieniędzy nie miała i zresztą nie pomyślała nawet o tym środku zdobywania sobie pozornej przynajmniej życzliwości i usługowości.

Dotychczas tak bywało, że gdziekolwiek zjawiała się Józia, służba przepadała za „śliczną”, „kochaną”, „grzeczną” panienką. Nawet stara, mrukliwa kucharka w Zalesinkach uśmiechała się do niej życzliwie, nawet „pyskała”, ordynarna Małgośka u ciotki Antoniny miała dla panienki przyjazne, uprzejmiejsze słowo.

Ostatecznie jednak zuchwałe postępowanie Joasi było złem najmniejszym. Józia prędko nauczyła się z filozoficznym spokojem ignorować aroganckie spojrzenia sługi, prześwidrowującej wzrokiem każdy skromniejszy szczegół garderoby, a szczególnie ów nieszczęsny, niemodny, zakręśki żakiet zimowy.

Ach! Ten żakiet!... On to był przyczyną, że dopóki nie ociepliło się, młoda pani Żarnicka nie wychodziła zupełnie z domu.

Było to prawie więzienne życie, bo nawet

śniadanie i podwieczorek przynoszono Józji do jej pokoju, przyczem kawa czy herbata już zwykle ostygły.

Do wspólnego stołu przychodziła tylko na obiad i na kolację i to nie zawsze.

Pozatem nie pokazywała się wcale w innych pokojach, chcąc uniknąć półgłosnych, a wcale nie dwuznacznych uwag teściowej, o „wierceniu się”, o „próżniaczem szwendaniu” i „zagładaniu we wszystkie kąty”.

Chociaż dla jej ruchliwej, towarzyskiej nury takie odosobnione życie było ciężkiem — nie nudziła się jednak na razie.

Szyła trochę, przeglądała swoją garderobę czyściła, odświeżała, przerabiała rozmaite drobłazgi. Pochłaniała książki, których jej dostarczała Lola — a przedewszystkiem dużo myślała o Konradzie.

Józia odstawiła oczyszczone już buciki i wzięła ze stołu kartkę korespondencyjną, aby ją jeszcze raz przeczytać.

Po raz pierwszy od wyjazdu męża uśmiech prawdziwego zadowolenia rozjaśnił stroskaną twarz młodej kobiety.

Dostała dzisiaj dobre wiadomości.

Konrad donosił jej, że może być zupełnie o niego spokojna. Przeznaczono go do pomocniczej służby etapowej, zdrowie mu dopisuje, czynności jego nie są zbyt uciążliwe.

„Nie martw się więc o mnie, Józienko — pisał — A jakże ty się czujesz? Jestem przekonany, żeś już przywykła do twego nowego domu i że ci dobrze jest z Mamą i Lolą? Prawda Józiu?...

O! Jakaż to ulga dla mnie, żeś cię pod tak dobrą zostawił opieką i że mogę być o ciebie spokojny...”

Trochę gorzko uśmiechnęła się teraz Józia... Nie przyszło jej jednak do głowy, że mogłaby mu coś o swoich przykrościach napisać.

W jakim celu?... Żeby go denerwować, niepokoić, martwić?... Zresztą byłoby to otwarte wypowiedzenie wojny matce Konrada, a Józia takiej walki wszczynać teraz nie mogła i nie chciała nawet.

Kłamać nie będzie, odpisze wymijająco, ale nie poskarży się. Niechże Konrad pozostanie spokojny.

Zresztą przecież ta wojna nie będzie trwać wiecznie. Skończy się, Konrad wróci, a wtedy...

W zakończeniu swej kariery Żarnicki dodawał, że nie odczuwał żadnych braków, bo matka nie tylko go zaopatrzyła w pieniądze, ale już mu przysłała dobrze wyładowaną paczkę.

Józia westchnęła. Nawet jej nie powiedziano, że wysłała się paczkę do Konrada.

Choć co prawda — cóżby mu ona kupić mogła?... Czyż miała pieniądze?...

Wspomnienie o pieniądzach pokierowało myśli Józji w inną stronę.

Wstała z krzesła, wzięła swoją torebkę rączną i z pewnym niepokojem zaczęła przeliczać swój bardzo skromny kapitał.

Zaledwie trzydzieści koron! Na nic wydawać nie można, bo to musi wystarczyć przynajmniej na marki. Trzeba by jednak kupić sobie świeże rękawiczki... I welonka już zniszczona.

Jak to jednak dobrze, że kostium wiosenny jest jak nowy... I kapelusz jedwabny także...

Anielka go kupowała!... Droga, kochana Anielka!...

— Na lato będzie mi potrzebny drugi kapelusz... — rozmyśla dalek Józia — Inaczej, wyśmieją mnie znowu... Trudno!... Trzeba sobie jakoś radzić!... Mam stary fason, przerobię go, ubiorę!... Żarnickiej nie będę przecież prosiła o pieniądze. O! Za nic!... A ojciec także zapowiedział, że nie da już ani grosza!... I dofrzyma! Och! Ojciec i teraz ta macocha!... Mój Boże! Taka marna rzecz pieniądze, a jednak to źle nie mieć ich!...

Józia ubrana w elegancki, zgrabny, granatowy kostium wiosenny, któremu świeżości dodawał biały koronkowy kołnierz — w niebieskim jedwabnym kapelusiku na bujnych włosach, wysunęła się z mieszkania do sieni.

Na dość wąskich schodach zetknęła się z jakimś wyelegantowanym jegomościem, który widocznie podążał do mieszkania pani Żarnickiej.

Był to mężczyzna w średnim wieku, może czterdziestoletni, może młodszy trochę, a może i starszy.

Znać było po nim, że niszczące ślady czasu, jeżeli istnieją, stara się usilnie zacierać.

Był ubrany z tak wyszukaną starannością, że aż prawie razili jego doskonale zaprasowane spodnie, nieskazitelnie błyszczące lakierki, nowutki, jakby dopiero ze sklepu przyniesiony, twardy, czarny kapelusz, najnowszego kroju zarzułka, zręcznie okazująca jedwabną podszewkę i najmodniejszej barwy krawat w najmodniejszy węzeł związany.

Z ubrania tego pana ulatniała się dyskretna, a jednak silna woń jakichś perfum.

Gładko ogolona twarz ujawniała ostre linie brody, a rudawe do góry podkręcone wasy nadawały, czy też nadawać miały całej fizyognomii coś zdobywczego.

Zielonawo połyskujące oczy spojrzenie miały bystre i przenikliwe, zanadto nawet bystre i nieprzyjemnie przenikliwe.

Na widok Józji, ten elegancki, wonny jego-mość zwinny, szarmanckim ruchem usunął się pod ścianę, ustępując jej miejsca i grzecznie uchylił kapelusza, odsłaniając pięknie zafrzywane, ale mocno już przerzedzone uwłosienie.

Twarz jego wydała się Józji znajomą. Jakby zmieniona trochę, ale stanowczo znajoma.

— Gdzie ja tego pana widziałam? — myślała, zbiegając szybko ze schodów — Bo ja go gdzieś widziałam... Nie mogę sobie przypomnieć gdzie... Ale napewno widziałam... Tylko jakoś wtedy inaczej wyglądał... Tak! Tak przypominam sobie teraz dokładnie... Miał hiszpańską bródkę... Zgolił widocznie... Ale gdzie to było? Aha! Już wiem!... W Pradze!...

Odetchnęła głęboko, wydostawszy się na ulicę. Przyjemnie owionęło ją ciepłe powietrze. Połoki światła słonecznego lunęły jej prosto w twarz, tak, że musiała przymrużyć oczy.

Zręcznie stąpając, aby jak najmniej wykręcać obcasy, przecięła Józia „kocimi łbami” wybrukowany rynek.

Pierwsza zwróciła na nią uwagę stara żydówka, sprzedająca na straganie zwiędłe cytryny i słodkie, lepkie, lecz mało apetyczne smakołyki.

— Zijste... zijstel — zwróciła się do swojej sąsiadki, straganiarki — a synowe fin dy Żarnicka!

— Sja! — zadecydowała tamta.

Józia weszła w aleję Łukowskiego skweru.

Spóźniona wiosna nie zdążyła jeszcze umiać drzew i trawników, tak, jak to bywało po inne lata o tej porze. Wszędzie jednak naokół widać było, jak przyroda pod wpływem słońca ze zdwojoną mocą spieszy, żeby naprawić opóźnienie. Prawie w oczach rozpękało się młode listowie drzew. Z zadziwiającą szybkością wychylała się z ziemi świeża zieleń traw.

Kilku rannych żołnierzy wygrzewa się na słońcu. Tu i ówdzie bawią się hulaśliwie i gromadki dzieci. Nianki i matki toczą wózki z najmłodszymi „pociechami”.

Na jednej z ławek siedziały trzy panie, zajęte żywą rozmową: mocno wypudrowana mama z nieładną, piegowaną, wykrygowaną i zda się pełnoletnią już córką i jakaś starsza dama z bujnemi, siwiejącymi włosami i z wybitnie energiczną miną. Dama ta spoglądała co chwila przez ł. zw. „szyk na pałyku”, inaczej „l'orgnon” osadzony na długiej, sztyldkretowej rączce.

Kiedy Józia mijala te panie, „l'orgnon” podniósł się na wysokość oczu siwiejącej damy.

— Proszę pani, nie wie pani kto to? To coś nowego i wie pani... wcale... wcale...

— A, ta!... Jaki, pani prezesowa nie wie?... To synowa Żarnickiej... To cała historia!...

— Konrad Żarnicki się ożenił! A to rzeczywiście historia!... Ale miał dobry gust!

— Podobno nie bardzo chciał się żenić, ale... Miciu, proszę cię, nie słuchaj!

Upudrowana pani przysuwa się bliżej do damy, nazwanej prezesową, i cichym szeptem, zapewne ze względu na dziewczęcą skromność pełnoletniej panienki, zaczyna coś bardzo żwawo opowiadać. Opowiadanie to jednak niewielkie zdaje się wywierać wrażenie na prezesowej.

— No tak, było nie było... Nikt nie wie, jak właściwie było... A że Żarnickiej poszło trochę po nosie, nic nie szkodzi! Wie pani, ona mi przecież zaczęła w zeszłym roku krytykować urządzenie festynu „Pożegnanie lata”... Jedno było jej niedobre, drugie niestosowne, a to wszystko przez to, że chciała swoją Lolusię zrobić przodownicą w „dożynkach”. Ładna mi przodownica, co ma blednicę... A ja powtarzam, że Konrad miał dobry gust!...

(Ciąg dalszy nastąpi.)